

WYCIECZKA z Horstem

Horst świetnie prowadził swojego wartburga. Odrywałem raz po raz wzrok od zieleni, by spojrzeć na jego profil. Na podłużnej, szlachetnej twarzy panował spokój. Skupienie nie pozabawiało jej pogody. Gdy brał na dużej szybkości tak częste w mazurskim krajobrazie zakręty — lekki grymas w okolicy ust przypominał uśmiezek zadowolenia.

Drogowskaz informował: Ostróda 14 km. Pozostało nam jeszcze około dwudziestu kilometrów, wieś bowiem do której jechaliśmy, leżała niedaleko za Ostródą.

Wiozłem Horsta do rodzinnych stron jego żony. On sam pochodził z Magdeburga, ale żona jako dziecko wywędrowała wraz z rodzicami z Ostródy do Niemiec tuż przed zakończeniem wojny. Poznali się i pobrali w Lipsku, gdzie do dziś mieszkają.

— Ty wiesz — powiedział, gdyśmy minęli

drogowskaz — że przeżywam coś w rodzaju tremy. Wyobraź sobie, zobaczę przecież ludzi, którzy znali Martę od kołyski. Ale czy jesteś pewien, że jeszcze takich znajde?

— Bądź spokojny — zapewniłem go. — Znam tę wieś.

— Marta wspomina ją w każdej urodziny. To musi być ładna okolica. Ile Marta miała wtedy lat? Siedem.

— A ty swoją drogą jesteś w niej wciąż jeszcze zakochany, jak narzeczony.

— Treu sein, treu sein, treu sein muss ein Mann — zaśpiewał nieco chrapliwym barytonem.

Lubiłem go. Poznaliśmy się w Kudowie na tygodniowym sympozjum międzynarodowym. Rozmawiałem z nim dużo raczej dla przypomnienia sobie języka niemieckiego niż z jakiejś innej potrzeby. Na pożegnalnym bankiecie wypiliśmy kilka wódek, potem bruderschaft. Oczywiście, na odjezdnym zapraszaliśmy się nawzajem i ja, jako pierwszy skorzystałem z jego zaproszenia, by spędzić w Lipsku całe dwa tygodnie. Marta była równie miła jak on. Pochodziła ze zniemczonej rodziny, nazywała się z domu Zaremba, ale nie umiała ani słowa po polsku. Rodzice już nie żyli, rodzeństwa nie miała. Zapraszałem do Polski ich obojga, ale Marta nie chciała pozostawić w Lipsku samych

dzieci, z których młodsze miało zaledwie rok. Horst musiał jej solennie przyrzec, że jeżeli skorzysta z jego zaproszenia, to odwiedzi jej rodzinną wieś.

Wjechaliśmy na ulice Ostródy.

— Powiatowe miasto twoich teściów — powiedziałem.

— Czekaj, tu Marta była chrzczona! — krzyknął Horst. — Zatrzymamy się.

— Dobrze, jedź wobec tego na lewo do przystani.

Zatrzymaliśmy się nad Jeziorem Drwęckim, przespacerowaliśmy się po nadbrzeżu, wypiliśmy butelkę płynnego owocu. Potem poszliśmy w kierunku rozciągającego się w pobliżu starego miasta.

— Ale z zabytkowego kościoła ewangelickiego pozostały w 1945 roku tylko szczątki, wypalił się w czasie działań wojennych — uprzedziłem go.

Na starym mieście — kompletnie przed laty zburzonym — zieleniły się jeszcze puste place, lecz miejscami było ono już zabudowane nowymi obiektami.

Gdy stanęliśmy przed ruiną starego kościoła — Horst wpatrywał się weń uważnie, jakby liczył czerwone cegły. Szeptał:

— Urodziła się w 1938, na rok przed wybuchem wojny. Gdyby nie Hitler, gdyby nie ta

wojna, byłaby tu została, chodziłaby może w tym mieście do gimnazjum.

— Nie byłbyś jej poznał, nie zostałaby twoją żoną — powiedziałem.

— Znalazłaby się inna — roześmiał się, ale zaraz spoważniał. — Tylko nie rozumiem, dlaczego rodzice Marty stąd wyjechali, to była przecież polska rodzina, oboje starzy dobrze mówili po polsku.

— A Marta? Czy nie umiała wcale, czy też później zapomniała?

— Chyba nigdy nie umiała. Oni w domu rozmawiali zawsze tylko po niemiecku.

Pociągnąłem go za rękę. Wracaliśmy wąską uliczką ku przystani. Mówiłem:

— Zgermanizowali się, język polski pozostał im jeszcze z czasów młodości, a Martę wychowywali już po niemiecku. Jeżeli zaś chodzi o wyjazd stąd przed klęską Hitlera, to wycofujący się Wehrmacht zabierał ludzi na siłę.

— Unverständlich — powtarzał Horst — unverständlich. A jednak są tu tacy co zostali.

Spojrzeliliśmy jeszcze raz na jezioro i wsiedliśmy do samochodu. Horst wyrwał się z zamyslenia, skupił się od nowa na prowadzeniu wozu i znowu na wirażach pojawiał się wokół jego ust ten grymas zadowolenia z jazdy.

Zatrzymaliśmy się na środku wioski. Ostatnie wymienione z Horstem zdania niepokoiły

mnie trochę. Nie rozmawialiśmy w Lipsku o tych sprawach, Marta opiewała jedynie uroki tej swojej rodzinnej wsi i nic więcej. Nie tłumacząc dlaczego, zaproponowałem Horstowi, by poczekał przy samochodzie, a ja sam dowiem się od pewnego znajomego Mazura, gdzie znajduje się dom, w którym przed 1945 rokiem mieszkali Zarembowie.

Gdyśmy stanęli na niedużym placyku, mój przyjaciel zaczął rozglądać się z nabożnym zainteresowaniem po wsi. Nie było w niej nic szczególnie uroczonego. Na placyku rosły kasztany, za nim stała remiza strażacka. Wzdłuż głównej drogi ciągnęły się zwykle, parterowe domy z cegły, zza których widać było zabudowania gospodarcze i ogrody. W jednym z pobliskich domów — jedynym piętrowym — był sklep spożywczy z niedużą witryną i oszklonymi drzwiami, do których prowadziły trzy stopnie.

Spojrzałem na Horsta — miał minę człowieka zawiedzionego, ale w oczach trwało jeszcze to nabożne uniesienie, z którym tu przyjechał.

— Zawiodłeś się — powiedziałem.

— Nie — odparł. — To jest co prawda bardzo zwyczajna wioska, ale ma jednak w sobie coś takiego...

— Wsi spokojna, wsi wesola — wyrecytowałem po polsku i zaraz przetłumaczyłem to na

niemiecki, uzupełniając podaniem źródła cytatu. — Rozumiesz chyba prostą rzecz, że sprawy, ludzie i przedmioty są we wspomnieniach dzieciństwa zupełnie inne, większe i barwniejsze.

— No ja, ja, natürlich — przerwał mi, rozglądając się nadal. — A więc idź tam i dowiedz się, gdzie ten dom.

Starego Mazura zastałem w mieszkaniu. Gdy go poprosiłem o udzielenie mi potrzebnej informacji — zasepił się i milczał przez chwilę. Wreszcie poskrobał się po łysinie wrzynającej się w kępę siwych włosów i wytłumaczył mi, że po drugiej stronie wioski, drewniany dom na prawo od remizy i dodał, że w nim i teraz mieszkają Zarembowie. W odpowiedzi na moje zdziwienie i zapytanie, czy to krewni tamtych Zarembów — wykonał tylko nieokreślonej treści ruch ręką, podreptał w miejscu i wydobył z siebie coś jakby mruknięcie i jakby ziewnięcie.

Horst ucieszył się, że dom będzie drewniany. Dopiero teraz przypomniał sobie, że taki właśnie miał być. Z opisów Marty miał raczej pewne mgliste wyobrażenie jego wnętrza i otoczenia niż samego zewnętrznego wyglądu. Ja szedłem jednak przez plac jeszcze bardziej niespokojny.

Drewniany dom był bardzo piękny i Horst, ujrzawszy go, zareagował okrzykiem podziwu.

W cieniu starych jabłoni, grusz i orzechów stała stara chata o konstrukcji zrębowej z wystającymi poza narożniki końcami węglów. Dach jej był słomiany, szczyty deskowane. Przed domem barwiły się malwy, za szybami małych okien zieleniły się doniczki mirtu. Mała dziewczynka bawiła się u wejścia.

— Wunderschön — westchnął Horst z zachwytem. Jego oczy lśniły.

Zapytana o ojca dziewczynka odpowiedziała:

— A o! Tato dopiero co wyszedłszy na podwórze.

Pomyślałem: co to za wileńscy Zarembowie w chałupie po ziemczonych Mazurach Zarembach? Ale młody, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna już nas ujrzał czy usłyszał i szedł od podwórza z kubłem w ręku.

— Czy to pan jest Zaremba?

— Tak.

— Ojciec pana pochodzi stąd?

— Tak. No, właściwie to trochę stąd a trochę z sąsiedniej wioski.

— A to dziecko to pana? — wskazałem na dziewczynkę. — A tak, to moja — roześmiał się. — Ja jestem tutejszy, ale żona urodziła się w Nowowilejce.

Roześmiałem się także, zrobiło mi się lżej i spieszno mi było podzielić się z Horstem wiadomością o tym przejawie integracji, więc po-

prosiłem gospodarza, by nie miał mi za złe, że powiem coś po niemiecku zagranicznemu gościowi. Wtedy Zaremba oświadczył:

— Wir können doch deutsch sprechen.

Horst ożywił się nagle, powiedział „Guten Tag” i podał gospodarzowi rękę. Powtórzyliśmy mu treść poprzedniej naszej wymiany zdań. Okazało się też w następnej chwili, że stary Zaremba jest w domu. Młody bez wahania zaprosił nas do wnętrza.

— Żony nie ma, nawet nie wiem, czym by poczęstować — mówił.

Przez ciemną sionkę weszliśmy do obszernej izby, pełnej żywych i sztucznych kwiatów. Wśród starych, typowo niemieckich mebli jedynie religijne obrazy na ścianach były nowsze. Na opasłej komodzie, obok porcelanowej popielniczki z niemieckim napisem, stały w wazoniku kolorowe wileńskie palmy, bynajmniej nie kłócąc się z obcym sobie środowiskiem.

Młody Zaremba wyszedł zaraz, by poprosić swego ojca.

Horst rozglądał się po pokoju i z błyskiem w oczach powtarzał swoje „wunderschön”. Powiedział, choć mu wrażenie dech zapierało:

— To ona tu biegała... — A po chwili: — Może urodziła się w tym pokoju...

Wkrótce pojawił się w pokoju niestary mężczyzna, niewiele ponad pięćdziesiątkę. Trzy-

mał fajkę w zębach, otrzępywał ręce po jakimś gospodarskim zajęciu.

Rozmowa wywiązała się w języku niemieckim. Starszy Zaremba prosił siadać, wypytywał, skąd przybywamy. Horst z entuzjazmem objaśnił go, że w tym domu urodziła się jego żona z domu Zaremba, że słyszał od niej wiele o tej wiosce, że z okazji pobytu w Polsce przyjechał tu specjalnie.

Zaremba wpatrywał się w niego bez przerwy, pykając z fajki. Siedział nieruchomo naprzeciw nas i tylko raz po raz dotykał ręką guzika roboczej bluzy. Gdy Horst skończył, powiedział:

— To Zygfryd już nie żyje.

— Umarł przed czterema laty.

— No tak. Pozostała już tylko Marta. Przeciw niej nic nie mogę mieć, ona była wtedy dzieckiem, o mnie może nawet nic nie wie. Ja u nich nie bywałem.

— Więc pan jest bratem mojego teścia? W ogóle nie wiedzieliśmy, że on miał brata.

— Bratem, ale tylko z urodzenia. Poza tym byliśmy dla siebie gorzej niż obcy. Zygfryd był obcy dla wszystkich tutaj. Dla mnie był nieprzyjacielem.

Twarz Horsta zmieniła się nie do poznania. Zniknęła z niej cała radość. Czoło jego zmarszczyło się, oczy zgasły. Poprosił szeptem:

— Czy mógłby pan opowiedzieć jak to było?

Gospodarz machnął ręką, wpatrzył się w okno, pyknął kilka razy z gasnącej fajki, aż zakurzyła się od nowa.

— Co tu gadać. Zygfyrd był starszy ode mnie. Od razu w 1933 roku wstąpił do NSDAP. W tym czasie zmarła nasza matka, ojciec już nie żył od dwóch lat. Zygfyrd po prostu wypędził mnie z gospodarstwa i po roku ożenił się. Stał się wielkim Niemcem, a ja mu śmierdziałem polszczyzną. Ale czy to o to szło? Jemu szło o gospodarstwo tylko, żeby ją mieć całą. Taki z niego był Niemiec. Poszedłem do sąsiedniej wioski i pracowałem u bogatego gburą. A on tu jako hitlerowiec dał się wszystkim we znaki. Do dziś ludzie zgrzytają zębami, jak ktoś go wspomni. Gdy w czterdziestym piątym wywędrowałem, przyszedłem na tę gospodarstwo, bo mi się należała. I to wszystko.

— Nie odezwał się nigdy? — spytał cicho Horst.

Zaremba znowu machnął ręką, ale po chwili wstał, podszedł do komody, pogrzebał w szufladzie i wydobyl z niej kartkę papieru. Wrócił i podał kartkę Horstowi. Na pożółkłym papierze zeszytowym widniały poblakłe kufony.

— To była nasza cała korespondencja. Ja mu nie odpisałem.

Przysunąłem się do Horsta, nachyliłem się nad kartką i czytałem równocześnie z nim:

„Bracie! Pozdrawiam Cię, choć opuściłeś mnie niepotrzebnie, bo mogłeś pracować razem ze mną na gospodarstwie zamiast iść do obcych ludzi. Słyszę jednak, że jesteś z powrotem na ojcowiznie. Cieszę się z tego, bo wolę że poszła w Twoje ręce niżby mieli przyjść ci obcy ludzie ze wschodu. Myślę, że Ty lepiej od nich uszanujesz mój trud włożony w gospodarkę i będziesz ją dalej rozwijał. Gdy wrócę, to odpowiednio ocenię Twoją pracę i jak dobrze pójdzie, to wystarczy chleba dla obu naszych rodzin. Wybudowałbym sobie nowy dom a Ty mógłbyś zostać w starym. Staraj się więc. Napisz mi, jak gospodarzysz i jak tam wszystko wygląda. Ja tutaj tymczasem pracuję w fabryce. Pozdrawiam Was jeszcze raz i życzę Wam wszystkiego dobrego. Twój brat Zygfryd.”

Na liście widniała data 13 grudnia 1945.

Spojrzeliliśmy obaj na Zarembę. W jego oczach był absolutny spokój. Gdy z kolei — wróciwszy na poprzednie swe miejsce — popatrzyłem na Horsta, z jego oczu trudno było coś odczytać. Trzymał nadal w ręce kartkę, dopiero po chwili odłożył ją na stół. Powtarzał tylko: — Unverständlich, unverständlich...

Przepraszał potem Zarembę, nie bardzo było wiadome, za co. Prosił, by mu mimo wszystko pozwolono obejrzeć całe wnętrze domu, podwórze i ogród. Gospodarz przyjmował to jako

